

Poeta Rizal

Opowieść

na tle prawdziwego zdarzenia

Niezwykle smutny przybył don Jozé Rizal do swych posiadłości pod Manillą na Filipinach. — Wszystko, co się tam działo dookoła: ta krew lejąca się strumieniami, te odgłosy nierównej a morderczej walki, te jęki nieszczęśliwych powstańców — wszystko to jakimś niezmiernym żalem napelniało jego serce. Był on patriotą, kochał swą Hiszpanię, ale dlatego właśnie wzdygał się na myśl, że ojczyzna jego tylko przez gwałt, mordy i strumienie krwi ma zdobywać dla siebie dobrobyt i sławę. Jakimś dreszczem przejmowały go salwy, rozlegające się ponuro i widział jasno swą wyobraźnię tych nieszczęśliwych, co porwali się na nierówną walkę, co szli prawie na niechybną śmierć w obronie praw ludzkich, zgwałconych przez jego współziomków...

Rizal był poetą — więc obrazy te, zrazu tak nieokreślone, tak niejasne, że w duszy jego ozwały się tylko jakimś niewypowiedzianym uczuciem cierpienia, zaczęły przybierać oznaczoną formę, wcielać się w dźwięczne, melodyjne wyrazy — i popłynęła pieśń, smutna, wstrząsająca — pieśń, co wyśpiewała wszystkie marzenia, wszystkie bóle i płacze ofiar brutalnej przemocy, których całą zbrodnią było to, że tak samo, jak Hiszpanie, kochali swą ojczyznę.

Już świtało, gdy Rizal przestał pisać; wstał, przeszedł się po ogrodzie... Zdała widniały mury Manilli. Uśmiech szczęścia wystąpił na twarz jego blada i zmęczona... Tam, gdzie dla oka były tylko niewyraźne kontury, myśl jego odgadywała znane mu dobrze ulice, dom, w którego progi tak często wstępował — a w nim uroczyste zjawisko, przedmiot jego marzeń, cudną Luizę, z którą wkrótce miał stanąć na ślubnym kobiercu. Pieścił myślą jej postać tak mu drogą, w szmerze liści dosłuchiwał się jej głosu i utonął cały w tem złudnem marzeniu, rojąc, że za chwilę ujrzy swą Luizę w rzeczywistości i rzuci jej pod nogi snop pieśni nowych — lecz czemuż tym razem tak smutnych, czemuż krwią i łzami zaprawnych?...

Wtem rozległ się łoskot karabinowych wystrzałów. Rizal drgnął, oknął się z rozkosznych marzeń, a przed oczyma jego stanął znowu, jak straszne jakieś widmo, obraz krwi, mordów i pożogi.

* * *

Wąską wiejską ścieżyną, zwolna, ociężale, posuwał się oddział ludzi lichy uzbrojonych. Na twarzach ich malowało się zniechęcenie i niepokój.

— Do czego to doprowadzi? — mówił jeden z nich. — Hiszpanie wystrzelają nas, jak zwierzyne, a my nawet jęku wydać nie zdołamy i tylko żony nasze i dzieci zostawimy na pastwę wrogom.

Głuche milczenie było odpowiedzią na te słowa zwątpienia. Wszyscy posuwali się smutni, zrozpaczeni. Doszli nareszcie do wsi, gdzie zastali kilka takich samych partyi, lecz rozlegał się tam gwar i okrzyki. Jedni wołali: „Niech żyje Rizal!“, drudzy: „Precz z Hiszpanami!“ — a wszyscy wydzielali sobie z rąk papier, co był tym talizmanem, udzielającym życia i odwagi. Przybysze z ciekawością słuchali, gdy jeden z obecnych czytał czarodziejskie słowa z owej kartki. Była to pieśń Rizala, pieśń, co ozwała się drgnieniem ich serca, krwią nasiąkła i łzami, silna boleścią, porywająca mocą oburzenia...

I słuchali wszyscy zdumieni, a z piersi wyrwał się jeden okrzyk: „Niech żyje Rizal — precz z Hiszpanami!“

* * *

Był to precudny dzień podzwrotnikowy. Naokół wszystko jaśniało takim weselem, taką radością, iż zdawało się, że natura sprawiała jakieś gody niezwykłe, że starała się olśnić, oczarować człowieka swym wdziękiem i krasą...

Drogą do portu w Manilli dążyło dwoje młodych ludzi, a rozpromienione ich twarze, żrenice pałające pogodnym szczęściem świadczyły, że dusze ich harmonizowały z tym uroczym wdziękiem natury, że szli szczęśliwi, że dobrze im było we dwoje...

— Nie wiesz, Luizo — szeptał mężczyzna — jak jestem szczęśliwy w tej chwili! Za kilka minut popłyniemy przez morze do Hoilo; na parę godzin zniknie nam z oczu ta ziemia, parę godzin nic nie będę widział, oprócz tej bezbrzeżnej otchłani —

i ciebie... O! kiedyż tak popłyniemy na zawsze przez fale życia... spokojni, szczęśliwi.

— A ja się boję — odrzekła kobieta — ta straszna otchłań mnie przeraża, ta przemoc żywiołowa wszystko łamie... i szczęście człowieka. Boję się, może dlatego, że nadto szczęśliwa w tej chwili... przy boku mego Rizala...

I tuliła się do niego, szczęściem i trwogą jakąś zarazem przejęta.

Szli tak w milczeniu, wsłuchani tylko w szum bałwanów morskich, szelest wiatru i drgnienia własnych serc.

Rizal z rozkoszą spoglądał w nieskończoną dal oceanu... Myślą unosił się tam, hen daleko od gwaru ziemskiego, pragnąc tę pustkę dla oka zapełnić marzeniami wyobraźni, widokiem postaci ukochanej, dźwiękiem jej głosu, pieśnią jej słów — i patrzeć na nią, słuchać, wielbić...

Mieli już wsiadać na statek, gdy wtem zatrzymał się przed nimi zakryty powóz, wyskoczyło zeń kilku żandarmów i w jednej chwili porwali Rizala, wsadzili gwałtem do pojazdu i odjechali...

* * *

W Barcelonie zwołano sąd wojenny. Stawiono przed nim poetę, don Jozé Rizala, za podburzanie swymi utworami do powstania na Filipinach.

Rozprawy trwały krótko; wyrok zapadł tej treści: „Don Jozé Rizal za zbrodnię stanu zostaje skazany na rozstrzelanie“.

Po wysłuchaniu tych krótkich, lecz okropnych słów, znowu Rizal znalazł się sam w celi więziennej, z myślami tylko swemi...

A były to myśli straszne, tak straszne, jakie mieć tylko może człowiek pełen życia, rwący się z sił całych do szczęścia, a któremu powiedziano, że umierać musi, że wydrą mu gwałtem to jego życie...

Straszny dreszcz wstrząsnął jego ciałem: tam wre życie, tam szerokim potokiem płyną rozkosze świata — a on ma gnić w jakimś dole, zasypyany piaskiem, gdzie robaki będą mu wyjadać oczy...

Zerwał się i jak szalony zaczął biegać...

— Nie, to okropne! — powtarzał — Ja chcę żyć, żyć, choćby cierpieć najstraszniejsze męki — konać, ale żyć!

Lecz śmierć nieunikniona — śmierć za to, że serce jego zadrgało litością na widok tych nieszczęśliwych, co życiem chcieli okupić wolność i niepodległość.

Może za chwil kilka przyjdą, by zaprowadzić go na plac, gdzie kule pierś mu rozszarpia.

Wzdrygnął się i straszną otchłań nicości zobaczył przed sobą... Cisza była dookoła, słyszał tylko puls swego uderzenia. Chciał rozerwać się czemkolwiek — spojrzał wokół: nagie, smutne ściany i okno zakratowane — nic więcej. Chwycił obiema rękami za kratę — ani drgnęła; bił czołem, aż strumienie krwi popłynęły. Daremnie: głucho i pusto. Podłży metal i on się uwziął na niego.

Rzucił się bezwładnie na tapczan i znowu wzrok jego spoczął na tych ścianach ponurych... Och! Te mury więzienne! Gdyby one mówić umiały, wieleż cierpień ludzkich, wiele boleści wypowiedziećby mogły!...

Straszna otchłań, co rozwierała się przed jego przyszłością, skierowała jego myśli do dawnych lat... Przypominał sobie dziecińne czasy, kiedy tak był szczęśliwy w domu rodziców — później, kiedy zdawało mu się, że raj się przed nim otwiera, gdy poznał i pokochał piękną Luizę. I stanęła mu przed oczyma jej uroczą postać i zdawało mu się, że słyszy jej głos czarujący, że płynie z nią gdzieś w nieskończoność...

Rzucił się — ręka jego dotknęła zimnej i wilgotnej ściany — uroczyste marzenie znikło: znowu pozostały tylko nagie mury i okno zakratowane.

Począł dalej rozpamiętywać przeszłość — i ujrzał Luizę, jak stała na brzegu morza, przerażona, osłupiała, z załamanymi rękoma, gdy jego porwali i powieźli, by tu oto zamknąć, a potem rozstrzelać... I nigdy jej już nie zobaczy — nigdy! Nie! niech wydrą mu to życie, niech pierś jego rozszarpia kulami, ale musi on ujrzeć ją jeszcze, musi choć przed śmiercią nazwać ją swoją. Zanim poprowadzą go na plac stracenia, zanim padnie na ziemię w śmiertelnych konwulsjach, Luiza musi być jego żoną, musi powiedzieć jej na kolanach: Luizo, tyś moja na całe życie — tak! Na całe życie — które może tylko kilka godzin ma potrwać!...

Zerwał się z posłania i zapukał do drzwi.

— A co tam? — zapytał niedbale żołnierz.

— Dyżurnego oficera chcę widzieć koniecznie.

Po chwili wszedł oficer.

— Czego? — zapytał krótko.

— Chcę, jako skazany na śmierć, oznajmić swą ostatnią wolę: pragnę przed śmiercią połączyć się węzłem małżeńskim z moją narzeczoną, Luizą Taufers.

Oficer wzruszył ramionami i wyszedł, mrucząc coś pod nosem.

* * *

W ponurej kaplicy więziennej, skąd wynoszono zwykle tylko zmarłych więźniów, których śmierć uwolniła z więzów ziemskiej niedoli, odbywała się niezwykła tam uroczystość: w tym przybytku leż i śmierci przysięgało sobie przed Bogiem dożgonną miłość i wierność dwoje młodych ludzi. Lecz jakże smutną była ta ślubna ceremonia. Zamiast orszaku weselnego — straż więzienna, zamiast dźwięku organów — szcęk oręża, a na twarzach — nie radość ziszczonych nadziei, nie odblask szczęścia, lecz ponura, śmiertelna bladeść...

Ceremonia skończyła się, kapłan odszedł — oni zaś łkając, padli sobie w objęcia — po raz pierwszy i ostatni w życiu...

— Więc teraz, Luizo — szeptał pan młody — teraz, kiedyś przed Bogiem moją na wieki, mam cię na wieki utracić... i nigdy już, nigdy nie oglądać tych oczu anielskich, nigdy nie słyszeć głosu twego?... Wszystko to zniknie, a pozostanie tylko pustka i cisza grobowa!... Luizo! Luizo! ty przyjdiesz na grób mój, prawda? Pod ziemią lżej mi będzie, gdy mej mogiły twe stopy się dotkną...

— Nie mów tak, nie mów... To okropne, ty nie pójdziesz ode mnie, nie wydrą mi cię, nie, nie! Ach! Boże, Boże! — wołała, łkając młoda oblubienica i padła bez zmysłów na ławkę.

Rizal ukląkł, okrywał pocałunkami jej ręce i stopy, tulił je do serca, które za chwil kilka miało zamilknąć na zawsze...

Wtem przed nim stanął oficer, a spojrzenie jego mówiło mu wszystko... Rizal zrozumiał, że chwila straszna nadeszła — zerwał się, spojrzał po raz ostatni na swą żonę... Ha! jeszcze karabiny zagrają mu *veni creator*... Wybiegł, nie patrząc na nic, a w uszach dźwięczały mu łkania i płacz Luizy.

Powiew wiatru orzeźwił go nieco. Szedł, jak automat, czuł, że jakaś siła nadludzka pcha go gdzieś w otchłań, a on oprzeć się jej nie może... Nie był w stanie zdać sobie sprawy, co się działo dookoła, miał świadomość tylko, że nogi tak samo stawia, jak przedtem, tak samo wciąga powietrze w piersi, a jednak tak dziwnie innym ten świat mu się wydaje... Widział go po raz ostatni... Za chwilę to jasne słońce, ta ziemia okryta kwieciami, te domy pełne gwaru i wesołości znikną dlań na wieki, a jedno słowo komendy wtrąci go w straszną, bezdenną przepaść nicości...

Kazano mu się zatrzymać — przed nim stał oddział żołnierzy. Objął jednym rzutem oka krajobraz, roztaczający się dookoła. Wszystko jaśniało weselem i szczęściem, pogoda była cudna, tak samo, jak i wtedy, gdy szedł z swą narzeczoną na brzegu morza, pełen nadziei, upojony nadmiarem szczęścia; tak samo, jak wówczas, lekki wiaterek muskał jego skroń — wszystko tak samo, a jednak jaka straszna, jaka okropna różnica...

Spojrzał przed siebie: oddział żołnierzy stał nieruchomie, jak martwa bryła, czekając na swą ofiarę.

I przyszła mu dziwna myśl do głowy: gdyby tak podszedł do tych ludzi i zapytał każdego z osobna, czy pragnie jego śmierci, otrzymałby z pewnością odpowiedź, że nie tylko nie chcą odbierać mu życia, ale nawet nie wiedzą, za co mają to uczynić.

I okropny żal ścisnął jego serce, żal nie nad sobą, ale nad tymi, co muszą mordować, nie wiedząc nawet, dlaczego to czynią.

Zawiązano mu oczy — i wszystko od razu dlań znikło na zawsze... Zyl jeszcze, czuł puls swego uderzenia, a wiedział, że już nigdy świata nie zobaczy. Za chwilę głuchy łoskot wstrząśnie powietrzem, straszny ból poczuje w piersiach — i cisza, pustka na wieki...

Ozwał się głos komendy, karabiny błysnęły, niebieski dymek ukazał się przy lufach, ogłuszający huk rozległ się ponuro — i ciało skazańca zadrgało w śmiertelnych konwulsjach...

A słońce ozlacało ziemię swymi promieniami, wszystko żyło, weseliło się, jak gdyby nic strasznego nie zaszło na świecie... Tylko echoniosło głuchy łoskot wystrzału po przez lądy i morza, po przez gór szczyty i dolin przepaście, a dźwięk ten ponury zdawał się pytać: Jak długo jeszcze człowiek będzie mordował człowieka, brat brata, i przemoc dzika panować będzie nad światem?...

